

AUKUS – witajcie w nowym świecie [FELIETON]

Zachód rozpadł się na wspólnotę Anglosasów, gotową do rywalizacji z Chinami o to, kto będzie wytyczał kierunek dziejów powszechnych, oraz na Europę, która chciała sprytnie zachować neutralność w tym sporze, a stała się w najlepszym wypadku strefą peryferyjną globalnej polityki – pisze Dariusz Gawin w nowym felietonie dla Teologii Politycznej.

W wielkiej awanturze, która rozpętała się po zerwaniu przez Australię gigantycznego kontraktu na francuskie okręty podwodne, głównym przedmiotem sporu nie są bynajmniej pieniądze (choć przynajmniej – sumy przyprawiają o zawrót głowy). W tej sprawie chodzi przede wszystkim o geopolitykę. Zawarcie przez Australię, Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone sojuszu militarnego nazwanego od pierwszych liter angielskich nazw tych krajów A-UK-US porównywane jest już przez komentatorów do takich momentów jak kryzys sueski w 1956 roku czy „jesień narodów” w 1989 roku. Na co dzień wielkie procesy geopolityczne dzieją się bardzo powoli, tak jak powoli, niemal niezauważalnie przesuwiają się płyty tektoniczne. Od czasu do czasu dochodzi jednak do gwałtownych, wielkich tąpnięć i trzęsień ziemi, które uwalniają kumulowaną od dawna energię. Po takich zdarzeniach trzeba na nowo rysować mapy świata. Spróbujmy przyjrzeć się konturom tego nowego porządku.

Zachód rozumiany jako polityczna wspólnota narodów ufundowana nie tylko na interesach lecz także na wartościach przestaje faktycznie na naszych oczach istnieć

Zachód rozumiany jako polityczna wspólnota narodów ufundowana nie tylko na interesach lecz także na wartościach przestaje faktycznie na naszych oczach istnieć (choć

naturalnie dalej będzie istniało NATO, dalej też będziemy słyszeć rytualne zapewnienia, że taka wspólnota istnieje i ma się znakomicie). Jednak wbrew pozorom głównym sprawcą tego nieszczęścia (bo jest to obiektywnie wielkie, historyczne nieszczęście) nie jest Ameryka lecz Europa. To prawda, że Amerykanie od czasów Obamy stopniowo przesuwali swoją uwagę z Europy na Pacyfik, zaniepokojeni rosnącą potęgą Chin. Tę politykę kontynuował znienawidzony w Europie Trump i kontynuuje witany jeszcze niedawno z takimi nadziejami Biden. O ile jednak Trump lekceważył Europę, o tyle Biden na samym początku swojej prezydentury złożył Europejczykom propozycję zawarcie swego rodzaju sojuszu antychińskiego. Spotkał się jednak z uprzejmą, ale zdecydowaną odmową ze strony kanclerz Merkel i prezydenta Macrona. Zasugerowano mu, że pomysł nowej zimnej wojny, tym razem z Pekinem, jest nedorzeczny i że lepiej pielęgnować zasady współpracy i multilateralizmu w stosunkach międzynarodowych bo to sprzyja robieniu interesów. Biden i jego ludzie wyciągnęli zatem z tej odmowy wnioski i zawarli sojusz z tymi, którzy zgłosili swoją gotowość do podjęcia rękawicy rzuconej przez Pekin.

Ta gotowość Brytyjczyków i Australijczyków do zawarcia sojuszu wymierzonego *de facto* w Chiny wynikała jednak nie tylko z czysto politycznych przesłanek. Zwroty strategiczne o tak fundamentalnym znaczeniu muszą być ugruntowane o wiele solidniej niż tylko w bieżącej grze politycznej – muszą one wynikać z podobnej kultury strategicznej sojuszników. Dla Francuzów i Niemców, tak jak dla wielu innych narodów zachodniej Europy, siła fizyczna jest tylko jednym z wielu – bynajmniej nie najważniejszym – narzędziem prowadzenia polityki. Równie ważne, jeśli nie ważniejsze, są takie instrumenty jak dyplomacja czy umowy handlowe. Niemcy są od dawna narodem szczerych pacyfistów. Francuzi zaś odwołują się do siły, gdy zagrożone są ich bezpośrednie interesy, na przykład w Afryce. Podejmowane tam jednak przez nich działania mają charakter chirurgicznych cięć. Daleko im do intensywności starć o charakterze totalnym, egzystencjalnym – a taki z pewnością charakter miałyby wojna z Chinami. Podobnie myślał Hiszpanie, Włosi czy Holendrzy.

Tymczasem strategiczna kultura Anglosasów jest inna – siły zbrojne są w niej naturalnym i podstawowym narzędziem prowadzenia polityki w niebezpiecznym z natury świecie ludzkiej historii, a gotowość do podjęcia ryzyka konfrontacji, jest czymś logicznym i naturalnym, jeśli w grę wchodzi obrona podstawowych interesów i wartości. Canberra rozpoczęła negocjacje w sprawie francuskiego kontraktu kilka lat temu. Był to świat przed pandemią, świat w którym Hong Kong cieszył się jeszcze autonomią, nie istniały obozy koncentracyjne dla Ujgurów i świat w którym Chiny nie wypowiedziały jeszcze wojny handlowej Australii, po tym jak ośmieliła się krytykować chińskie władze za ukrywanie prawdy o pochodzeniu COVID-19. Umowa australijsko-francuska miała obowiązywać pięćdziesiąt lat. Francuzi chętnie zarobili na sprzedaży okrętów, ale czy równie chętnie walczyliby

ramię w ramię z Australijczykami przeciwko chińskiej flocie, gdyby w trakcie tego półwiecza wybuchła prawdziwa, wielka, egzystencjalna wojna z Chinami? Bardzo wątpliwe. Dlatego Australijczycy zerwali kontrakt z Francuzami (trzeba to przyznać – w fatalnym stylu) i podpisali nowy z Amerykanami, dla których kontrola Pacyfiku to sprawa życia i śmierci. Bo w ich sposobie myślenia o bezpieczeństwie kupuje się broń od tych, z którymi razem będzie się walczyło ze wspólnym wrogiem. A trzecią stroną nowego sojuszu stali się Anglicy, którzy nie tylko mówią tym samym językiem co Amerykanie i Australijczycy, lecz również w taki sam sposób postrzegają i rozumieją świat polityczności.

Polityka progresywnego i liberalnego Bidena jest bezpośrednią kontynuacją polityki strasznego i populistycznego Trumpa. Ba! W gruncie rzeczy jest od niej dużo bardziej bezwzględna w stosunku do Europejczyków

W ten sposób Zachód rozpadł się na wspólnotę Anglosasów, gotową do rywalizacji z Chinami o to, kto będzie wytyczał kierunek dziejów powszechnych, oraz na Europę, która chciała sprytnie zachować

neutralność w tym sporze, a stała się w najlepszym wypadku strefą peryferyjną globalnej polityki, a w gorszym – polem ścierania się wpływów zewnętrznych potęg. Miała być strategiczna autonomia, a wyszła strategiczna degradacja.

Ten proces był nieuchronny, biorąc pod uwagę skalę zmian zachodzących od pół wieku nie tylko w gospodarce światowej lecz także w kulturze i świadomości społeczeństw zachodnich. Intrygujący przy tym wydaje się fakt, iż progresywna rewolta wobec tradycyjnej kultury – w tym także tradycyjnej kultury strategicznej Zachodu, trwająca po obu stronach Atlantyku od końca lat 60., a która okazała się tak niszczycielska dla polityczności europejskiej, nie zdołała zmienić fundamentalnych założeń polityki amerykańskiej. Dzisiejsza polityka progresywnego i liberalnego Bidena jest przecież bezpośrednią kontynuacją polityki strasznego i populistycznego Trumpa. Ba! W gruncie rzeczy jest od niej dużo bardziej bezwzględna w stosunku do Europejczyków, bo wprawdzie Trump robił im afronty i skandale, ale jednak to Biden zdecydował się na rzecz tak namacalną i konkretną jak zawarcie nowego sojuszu, bez pytania się ich o zdanie. Czy zadziałała tu głęboka pamięć instytucjonalna samego rdzenia struktur twardego bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, czyli armii, służb, dyplomacji i politycznego establishmentu? Być może tak właśnie było.

Jedno jest pewne – ta nowa rzeczywistość przesycona jest o wiele bardziej ryzykiem i niepewnością niż świat, który do tej pory znaliśmy. I nie jest to dobra wiadomość dla nas, Polaków, którzy choć myślimy o świecie w wielu sprawach tak jak Anglosasi, to jednak żyjemy pod jednym dachem z Niemcami i Francuzami.

Dariusz Gawin

Przeczytaj inne felietony Dariusza Gawina



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

